



# Moja droga do Prawdy i w Prawdzie

Moja droga do Prawdy była bardzo krótka, lecz w Prawdzie Pan ją wydłużył o ponad półwiecze. Dlatego chcę podzielić się z Braterstwem moimi wspomnieniami z podążania za Panem.

Urodziłem się 25. 06. 1923 r. we wsi Makowisko (ok. 9 km od Jarosławia) jako drugie dziecko spośród ośmiorga dzieci moich rodziców. Byli oni bardzo pobożnymi katolikami. Szczególnie gorliwy był ojciec. Często chodził do spowiedzi. Zdarzało się, że kilkakrotnie wracał do księdza, gdy przypominał mu się grzech, o którym zapomniał mu powiedzieć. Za którymś razem zniecierpliwiony „pasterz” ofuknął go: „Jak ci się jeszcze coś przypomni, to żałuj, a nie przychodź już mi tu więcej”.

Do dziś pamiętam wieczorne modlitwy odmawiane na kolanach przez całą rodzinę, którym towarzyszyło bicie czołem o ziemię. Mojemu ojcu nie wystarczało jednak to, co ksiądz przeczytał z Biblii w Kościele, miał swoje Pismo Święte, które bardzo często czytał i chociaż był prostym człowiekiem, ciężko pracującym kowalem, wiele z niego rozumiał.

Pewnego razu w czasie nabożeństwa ksiądz czytał Ew. Mateusza 23:1-7. Mój tato cichym głosem rzekł do swego sąsiada – „Dlaczego nie czyta dalej? On wie, że to jest bat na niego”. Jak łatwo się domyślić, ksiądz bardzo szybko dowiedział się o tym. Wezwał swego parafianina i ostro skarcił mówiąc: „Jak śmiesz brać w swoje brudne ręce Biblię!”

W tym czasie przyjechali w naszą okolicę Bracia z Wesołą Nowiną. W sercach kilkunastu rodzin zakiełkowała Prawda i w ten sposób powstał zbór, który liczył ok. 30-35 osób. Wielu nieżyjących braci pamiętam do dziś, m.in. Stefana Kornaka, Michała Kornaka, Wojciecha Kuca.

Wiść o innowiercach bardzo szybko rozeszła się po okolicy. Ojciec miał coraz mniej roboty, bieda zaczęła zaglądać do domu, a wraz z nią nieporozumienia między rodzicami. Lecz tato umiłował prawdę ponad wszystko i ufał w opatrzność Pańską. Wielokrotnie miał jej dowody. W połowie lat 30-tych, na Wielkanoc, gdy Bracia zeszli się na nabożeństwo, zostali zaatakowani przez procesję z chorągwiami, która ruszyła na dom, gdzie odbywało się zebranie. Wielu z Braci zostało dotkliwie pobitych, między innymi, br. Wojciecha Kuca zbili do nieprzytomności, uznali, że nie żyje i wyrzucili go do wody na łękę. Brat Kuc ocknął się i wyczołgał na suche miejsce, niedaleko polnej drogi. Jego jęki usłyszał jadący człowiek. Włożył go na wóz i zawiózł do szpitala w Jarosławiu. Jak się później okazało, nie był to koniec ofiary tego brata. Za to, że był badaczem i starszym w

zborze, znalazł się w czasie wojny w obozie koncentracyjnym.

Około roku 1937 przyjechał do zboru br. Gładysek. Podśledzałem, jak jeden z miejscowych braci przyszedł do ojca do kuźni powiadomić go o mającym się odbyć wieczornym zebraniu. Kiedy wieczorem ojciec szykował się do wyjścia, postanowiłem, że też tam pójdę. Nikomu nic nie mówiąc, wymknąłem się z domu i opłótkami (nie drogą) pobiegłem do domu br. Jana Stepańczaka. Usiadłem w kąci i pilnie słuchałem, co mówi brat Gładysek. Dziś już nie pamiętam, o czym mówił, lecz doskonale pamiętam, co stało się w moim sercu.

Na drugi dzień, w niedzielę rano, szedłem już na zebranie główną drogą. Towarzyszyły mi drwiny i obelgi kolegów, którzy obrzucali mnie przezwiskami. Ja już wtedy byłem innym człowiekiem i nic już nie mogło mnie zawrócić „z drogi, w którą wyruszyłem”.

Wkrótce przyjechali do nas bracia Mikołaj Grudzień i August Stahn. Nikomu o tym nie mówiłem, ale ja już wówczas poświęciłem się w sercu na służbę Panu. Zbliżała się Pamiątka Śmierci Naszego Pana, bardzo pragnąłem ją obchodzić, lecz bracia odradzali mi tłumacząc, że nie jestem ochrzczony. Pamiętam, że uczestnicząc w tym uroczystym nabożeństwie bardzo płakałem, bałem się, że za rok może być już za późno.

Przyszedł 1939 rok a z nim wojna, najpierw okupacja niemiecka, później sowiecka. Po przerwie spowodowanej zakazem zgromadzania się, bracia zaczęli znów spotykać się na zebraniach, m.in. u brata Kuca w Zapałowie. W 1940 roku zorganizowano większe zebranie u brata Bachora, niedaleko Oleszyc. Tam kilka osób, a wśród nich i ja, zgłosiło się do chrztu. Niektórzy bracia namawiali mnie, bym jeszcze się wstrzymał ze względu na ciężkie i niepewne czasy wojenne. Ja jednak oświadczyłem, że od mojej decyzji nie ma odwrotu, była przecież wojna, a ja chciałem być przede wszystkim żołnierzem Chrystusowym, choć miałem dopiero 17 lat.

I tak Pan pomógł mi, że spełniło się pragnienie mojego serca – zostałem ochrzczony przez brata Wojciecha Kuca w rzece Lubaczówka.

Był to dopiero początek drogi za Panem. Już w nocy z 21 na 22 czerwca 1941 roku wojska niemieckie przekroczyły rzekę San, a rankiem były już w Makowisku. Zaczęła się ciężka okupacja. Braci starszych Niemcy zabrali do obozów, zebrań nie było. Czasem udawało się nam w ukryciu zebrać w małą gromadkę, aby w świetle Słowa Bożego rozważać tamte



czasy. Ale takich chwil było coraz mniej. Życie było tak ciężkie, że doprawdy nie wiem jak potoczyłyby się moje dalsze losy, gdybym nie był poświęcony.

W 1943 roku zabrano mnie do Przemyśla do przymusowej, bardzo ciężkiej, pracy. Każdego ranka był apel z obowiązkową modlitwą i żegnaniem się. Któregoś dnia jeden z Niemców zauważył, że ja się nie żegnam i pobił mnie dotkliwie. O całym zajściu dowiedział się oficer wyższej rangi, który pomógł mi wydostać się z tej niewoli.

Wróciłem do domu, pracowałem w lesie i pomagałem ojcu w kuźni. Nie trwało to jednak długo. W sierpniu 1944 roku wojska niemieckie wycofały się, a do wsi wkroczyli Rosjanie. Wszystkich młodych, także i mnie, mojego brata, brata Stefana Kornaka przymusowo wcielono do wojska sowieckiego i wysłano na front.

W styczniu 1945 roku rozpoczęła się wielka ofensywa na zachód. Przeżyłem wiele, podążając wraz z frontem poza Odrę. Tam też po ciężkiej walce rozbito naszą jednostkę, a ja dostałem się do niemieckiej niewoli. Front przesunął się na zachód, nas niewolników pędzono przed nim, aż któregoś dnia załadowano nas w towarowe wagony i zawieziono do obozu w Łanbinowicach. Zdrowych, młodych jeńców zatrudniono przy kopaniu okopów.

Zbliżała się wiosna. Któregoś dnia kopiąc okopy zauważyłem na sąsiednim polu gospodarza siejącego zborze. Poprosiłem wartownika, by pozwolił mi iść do miejsca, gdzie stał wóz, aby zebrać kilka ziaren pszenicy. Wieczorem w obozowym baraku, na prowizorycznym młynku skruszyłem ziarna i zrobiłem placek wielkości monety. Był kwiecień, pełnia księżycy, miałem chleb i wodę, która zastąpiła mi wino. Modląc się obchodziłem Wieczerną Pańską - moje największe święto. Czułem, że nie byłem sam - że ze mną był Pan.

Zbliżał się maj 1945 rok - przegnano nas w okolicy miasta Prima nad Elbą. Ciężko pracowaliśmy kopiąc szerokie, głębokie rowy i robiąc zapory przeciwczołgowe. Pewnego razu, w czasie pracy, zauważyłem za rogiem leżące łupiny z brukwi. Samowolnie oddaliłem się, by je pozbiierać. Gdy się już po nie schyliłem, jeden z niemieckich wartowników zaszedł mnie od tyłu i ciężko zbił i skopał. Dzięki pomocy współwięźniów dotrwałem do wieczora i doszedłem do obozu, do punktu sanitarnego. Zwolniono mnie z pracy na kilka dni. Drugiego dnia dowiedziałem się, że mój kat został odesłany na pierwszą linię frontu.

Zbliżał się 8 maj. Niemcy czując, że zbliża się ich klęska, puścili nas wolno. Ja oraz dwóch moich kolegów (Józef Mróz i Jan Gajda) postanowiliśmy wracać do domu. Daleko nie zaszliśmy. Po kilku dniach zatrzymali nas rosyjscy żołnierze, postawili przed „komisją wojskową” i wcielili do wojska. Zaczęła się kolejna tułacz-

ka przez Czechosłowację i Austrię, i gdyby nie bomby atomowe zrzucone na Hiroszimę i Nagasaki niechybnie trafiłbym na front japoński.

Dowiedziałem się z gazety o porozumieniu zawartym między polskim i radzieckim rządem dotyczącym wymiany obywateli. Poszedłem do sztabu prosić, by pozwolili mi wrócić do Polski. Wydano mi dokumenty i w grudniu 1945 roku dotarłem do domu. Moją rodzinę w marcu 1946 roku w akcji „Wisła” przesiedlono do Brzerzan w tarnopolskim (Ukraina).

Znowu zostałem sam.

Szybko zrozumiałem, że życie samotne jest trudne. Postanowiłem jechać za rodziną. Wcześniej poszedłem na nabożeństwo do Jarosławia, aby pożegnać się z braćmi. Śpiewając pieśń 374 „Godziny miłe przeszły nam”, wszyscy płakaliśmy. Braterstwo Kiełt zaproponowali mi, że jeśli chcę to mógłbym zamieszkać z nimi i pomagać im w pracach ogrodniczych. Mile wspominam tamte dni. Na Zielone Świąta, w drodze na konwencję do Rzeczycy, odwiedził nas brat Mikołaj Grudzień. Po zakończeniu zebrania, rozmawiając ze mną, zapytał czy nie chciałbym jechać na konwencję. Nie trudno zgadnąć, jaka była moja odpowiedź. Już w pociągu br. M. Grudzień okazał mi nie tylko braterskie, ale i ojcowskie uczucia.

Na konwencji poznałem wielu miłych braci i siostry. Tam też dostałem w prezencie od br. Grudnia nowiutką kupioną od br. Leśnikowskiego Biblię.

Po konwencji wróciliśmy razem do Jarosławia. W domu brata Czyny odbyło się zebranie, po którym br. Grudzień zapytał się mnie czy chciałbym z nim jechać. Już na drugi dzień jechaliśmy razem towarowym pociągiem do Trzebini i pieszo podążaliśmy do Chrzanowa. Słuchałem opowieści o rodzinie Grudniów i z niepokojem myślałem - jak zostaną przyjęci. Już od progu br. Mikołaj powiedział do żony: „Mamusiu, przywiozłem ci jeszcze jednego syna”, w odpowiedzi usłyszałem: „To dobrze”. Poczuliśmy, że jesteśmy w prawdziwej rodzinie, która otoczyła mnie miłością i serdecznością.

W domu tym, oprócz synów braterstwa Grudniów, znaleźli schronienie br. Kostka, którego rodzina wygoniła z domu, gdyż nie chciał się wyrzec Prawdy, oraz starsza wiekiem siostra Celina. Równie serdeczne było poznanie z braterstwem w zborze Chrzanowskim. Niektórych, m. in. br. Henryka Kamińskiego znałem wcześniej, innych spotkałem po raz pierwszy, ale społeczność ze wszystkimi sprawiła, że czułem się szczęśliwy.

Dzięki br. Grudniowi i Wojtkowskiemu, którzy często zabierali mnie ze sobą, kiedy jechali odwiedzać zbory, poznałem wielu umiłowanych braci, których często



wspominam. Zimą 1947 roku pojechałem z br. Grudniem do Obrzycka na pogrzeb matki brata Antoniego Danielaka. Brat ten prowadził warsztat szewski i zaproponował mi, bym u niego został i nauczył się zawodu. Przystałem na tę propozycję. I tu, w poznańskim, spotkałem wielu miłych braci. U brata Danielaka mieszkalem do 1949 roku. Zrozumiałem, że być może jestem dla niego ciężarem, gdyż miał on troje dorastających dzieci, a dochody z warsztatu nie były zbyt wielkie, z powodu rosnących obciążeń podatkowych.

Wiosną 1949 roku, na większym zebraniu w Poznaniu, spotkałem braterstwo Walaszczyków, którzy zaproponowali mi bym, przyjechał do Kalisza. Zamieszkałem u siostry Chrzanowskiej, której syn był akurat w wojsku. W Kaliszu poznałem moją żonę i po krótkiej znajomości 11 czerwca 1949 roku zawarliśmy związek małżeński. Na skromną uroczystość weselną zaprosiliśmy, m. in., braterstwo Grudniów, Wojtkowskich, Danielaków i Kurków. A po 2 tygodniach otrzymaliśmy smutną wiadomość o tragicznej śmierci br. M. Grudnia, który został zamordowany w Zemborzycach.

Po roku urodziła nam się nasza pierworodna córka Krysia a później kolejno Ola i Ewa. Życie nasze przebiegło dość szczęśliwie, choć były i chwile smutku, lecz wciąż udawaliśmy się w modlitwach do Pana i zawsze doznawaliśmy pociechy i pomocy od Niego.

Prawie każdego lata spędzaliśmy urlop u braci w lubelskim lub u br. M. Kornaka w Dalecinie. Często też gościliśmy w Lipiu u br. Kopaków. Z wszystkimi tymi braćmi połączyły nas mocne więzy miłości. Również i w naszym domu bardzo często gościliśmy wielu braci. Odwiedzali nas min. br. Sikorowie z Częstochowy. Pewnego razu zdarzyło się tak, że przyjechali oni do nas, a my nie mieliśmy ani chleba ani pieniędzy, by go kupić. Były to ciężkie czasy i często odczuwaliśmy niedostatek. Żona pożyczła pieniądze od sąsiadki i poszła

zrobić zakupy, by przyjąć gości. Kiedy na drugi dzień odprowadzaliśmy braterstwo do pociągu brat Sikora szepnął mi do ucha: „Zobacz pod serwetką”. Znaleźliśmy tam dokładnie taką sumę pieniędzy, jaką pożyczaliśmy, a nam przez cały czas wydawało się, że nasi goście niczego nie zauważyli. Braterstwo ci pomagali wielu innym braciom, którzy znaleźli się w potrzebie.

Życie nasze byłoby na pewno o wiele cięższe, gdyby nie towarzyszyli nam w nim nasi współbracia tej samej kosztownej wiary Jezusowej. Bo któż podniósłby nam ręce w chwilach prób i doświadczeń?

Spotkałem w moim życiu wielu braci z różnych stron Polski i z różnych stron świata. Przy okazji odwiedzin mojej rodziny w Brzerzanach, spotkałem się też kilkakrotnie z braterstwem na Ukrainie. Społeczność z braćmi zawsze sprawiała mi ogromną radość i pobudzała braterskie uczucia miłości. Zawsze wspominam ich w modlitwach moich.

Doczekaliśmy z żoną dni, o których mówi Kaznodzieja Salomon w 12 rozdziale od 1 do 14. Wszystkim młodym radzę, by dobrze przeanalizowali jego słowa, gdyż w nich zawarta jest wielka mądrość życiowa. Z własnego doświadczenia potwierdzam tą prawdę, że najszcześniejszą rzeczą jest służyć Bogu od młodości (Psalm 34:16-23).

Niewiele dni pozostało mi na tej ziemi. Wiem, że można było przeżyć lepiej życie ku chwale Bożej. Liczę wciąż na pomoc i opatrzność Pańską. Proszę też drogich braci i siostry o pamięć w modlitwach za mną. Ja modłę się za wami wszystkimi.

Gowda Piotr  
R-  
„Straż”